Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 48.** Leszno, *dnia* 28. *Maja* 1841.



Ole - Bull.

Sztuka i Ole-Bull.

Wiek nasz jest dziwnym wiekiem; pod podwójną jawi się postacią: postępu, śiły, żywéj i wszechstronnéj działalności, i razem ubóstwa duchownych żywiołów; ma pozór twórczości, zapału, a jednak kiedy go lepiéj rozważymy, nie okazuje ani utwierdzenia w sobie, ani przekonania, które jest warunkiem prawdziwéj potęgi. Za bliscy jeszcze jesteśmy okropnego pożaru 18go wieku, który wyniszczył i wstrząsnął wszystko, co było wielkie, religijne, bezpośrednie w człowieku. Usiłujemy zapomnieć tego strasznego zjawiska, ale odrodzić się trudno; pozostała nam na licach bladość moralnéj niemocy, wyraz śćiętych, złodowaciałych uczuć w sercu. Tę ogólną niemoc modyfikują rozmaicie odcienia charakterów indywidualnych i na-

rodowych. Społeczność dzisiejsza nie ma ogólnéj cechy; dzieli się na gronka, oddziałki, mniéj więcéj ożywione. Samodzielność moralna wyrywa się z objęcia zimnéj, materyalnéj przeszłości, a nie mogąc się oprzeć na wierze, na religii, któréj się tak dumnie nie dawno zapierała, chwyta chciwie różne dźwięki poetyczne, rozlane w naturze, zjawiające się żywo w stósunkach społecznych, domowych, rodzinnych; ztąd to pochodzi, że im mniéj koloru i przerobienia cywilizacyjnego w narodzie, tém więcéj w nim życia, więcéj skarbów duszy; im mniéj wiedzy naukowéj, tym myśl takiego ludu bardziéj czysta, bardziéj dziewicza, że tak powiem; nawet w narodach oświeconych, prawdziwe geniusze tworzą sobie sztuczne życie natury, oddziaływając na wpływ przemysłu i materyalnych widoków, silną tęsknotą za pięknością przyrody, naiwnością uczuć, prostotą myśli. Lecz ta walka nie jest łatwa; trzeba olbrzyméj siły, aby duch poezyi pozostał świeży i nieskażony, wśród zepsucia, egoizmu i ziemskich dążeń. Szczęśliwy poeta, szczęśliwy artysta, który zrodził się wśród pierwotnego ludu dzikiéj natury.

Zapewne, że na łonie prawdziwéj oświaty dogmat religijny zawiera źródło najwznioślejszego natchnienia, lecz pokolenie dzisiejsze czerpać w niém nie umie. — Poezya ziemi, fantastyczne wniknienie w całość, pełność serca błąkająca się wśród doczesnych przedmiotów, marzenie szczęścia w doskonałym układzie społeczeństwa; oto jest najwyższy punkt spirytualizmu, do jakiego pierwsza ćwierć wieku 19. wznieść się może.

Tę to poezyą natury, poezyą marzącą, śmiałą a niewiadomą jeszcze ani swych granic, ani stósunku człowieka z Bogiem, tę to poezyą wyraża w zupełności artysta Ole-Bull, którego geniusz obecnie Europa podziwia. — Tacy ludzie są zwiastunami przyszłości sztuki, nieszczęsne ofiary chwilowego przejścia; ogniwa między starodawną, poczciwą wiarą, a niepewném jeszcze dążeniem dzisiejszéj epoki!

Dla tego pomimo zdania Heglistów, że ludzkość już przeszła stanowisko sztuki, jabym właśnie myślała, że ona dziś najwięcéj jéj pomocy potrzebuje, najwięcéj skarbów w niéj znaleść może.

Nauczmy się pierwéj tęsknić, płakać, kochać, a wówczas dopiero pojmiemy nicość materyalnych ulepszeń, wątłość świetnych szat przemysłu, któremi szkielet towarzystwa dziś się okrywa; wówczas mówię, w łzawém oku, odbije się czysty błękit nieba, a epoką piękności estetycznéj, exaltacyi ziemskiéj, spełniwszy swoje dzieło, ustąpi wzniosłości religijnéj, uspokojeniu w Bogu! Wtedy sztuka wróci do świątyni, człowiek przestanie ubóstwiać siebie, swego ducha, lub naturę, bo myśl jego zdolną już będzie pojąć piękność idealną, mądrość nieskończoną.

Ludzkość instynktem czuje tę prawdę, i dla tego w żadnym czasie nie garnęły się takie massy słuchaczów na popis muzycznych artystów. Najzimniejsze serca przeczuwają tam jakąś słodycz, któréj nawet pragnąc się nie nauczyły, nie wahają się poświęcać liczne sumy, za chwilkę wzruszenia, jakby tym sposobem wyznać chcieli, że im ciężko, pusto pod złotą zbytków osłoną; że jedna iskierka czucia, jedna łza tęsknoty, więcéj warta, niż skarby całego świata. — A przecież to tylko tęsknota! gra Paganiniego, Chopena, Ole-Bula, nie łagodzi cierpień, nie pociesza, bo téż człowiek dzisiejszy cieszyć się nie powinien. Zadaniem naszego wieku jest: pojednać się ze śmiercią, tym przysionkiem wieczności, uznać życie za pielgrzymkę, za ciężką powinność, za pokutę chwilową; ale nie za środek zadowolnienia i roskoszy, jak to materyaliści 18go wieku, i dzisiejsi apostołowie retabilitacyi materyi, urzeczywistnienia idei dowieść usiłują. Ztąd nawet wywinie się prawdziwe pojęcie sztuki, która jest oddźwiękiem z innego świata, odezwą Ojca niebieskiego do dzieci zbłąkanych, pieśnią z rodzinnéj zagrody, gdzie kiedyś wrócić musimy. Geniusze poetyczne naszego wieku są bez wiedzy swéj nawet, narzędziem tego działania opatrzności, są względnością szczytną, która jednak rozległych planów bezwzględnéj myśli Boga nie pojmuje; ztąd dziwaczność pomysłów artysty, jego panteistyczne przekonanie obok spirytualnego wyrazu jego arcydzieł. Artysta Ole-Bull przedstawia w sobie wszystkie te cechy dzisiejszéj sztuki. Wychowany w górach norwegskich, w zapasach z nędzą i nieszczęściem, przyniósł na łono cywilizacyi czystą i nieskażoną pamięć żywiołów dzieciństwa swego. — Prosta jego dusza nie pojęła dotąd znaczenia faktycznych stósunków społecznego związku; nie rozumie potrzeby hierarchii, bo wzrósł w idei braterstwa; nie zna innéj wartości, nad wartość moralną. Z miłością i nadzieją wita świat, w własnéj wymarzony imaginacyi; ufny jest, wierzy w moc sztuki, cieszy się jak dziecko, że go rozumieją, że chwilowo z nędzy moralnéj wynosi massy do godności człowieczeństwa; mniema, że jego władza przeżyje ulotne wrażenie, przemówi w zgodzie i szczęściu rzeczywistem ludzi, że się nie rozproszy, nie zetrze w brudzie egoizmu; dla niego sztuka kapłaństwem w stworzeniu! nie pojmuje jéj granic, nie wie, że ona tylko może być zwiastunką religii, ale jéj zastąpić niezdoła. Jednak mylę się, w nim niema téj zupełnéj pewności, w jego grze słyszysz niekiedy dźwięk rozpaczy; ma i on chwile smutku; bo jeśli nie rozumie granic socyalnego znaczenia sztuki, czuje przecież z boleścią, że ona mu indywidualnie nie wystarcza, że panteistyczna jego religia, chociaż poezyą ożywiona, nie ma celu po za tym światem, a ten świat mu za mały!... on radby zapomnąć

o tém, radby zasnąć w sennéj illuzyi, i wtedy to gra jego najsilniejsze czyni wrażenie; rzekłbyś, że się tuli do niéj, jak tonący do ostatniéj deski rozbitego okrętu; wtedy miota silniéj słuchaczem, przekonywa innych, ale siebie przekonać nie może — czujesz znów kilka chwil ironią w dźwiękach — zda się śmiać z ludzi, że mu wierzą — urąga swéj poezyi, że silnego ducha pokonać może; z tego uczucia ucieka się znów do sztuki; szuka, krąży po jéj bogatéj krainie; wpada w błąd, do którego Byron dał pierwsze hasło, błąd odwoływania się do wszystkich passyj, wszystkich skrytych sprężyn serca człowieka, w mniemaniu, że to serce rozkołysane, wzburzone, namiętne, wypowie mu tajemnicę tęsknoty, słowo zagadki życia. Lecz prawda nie udziela się burzy, ona jest nagrodą uciszonéj pokory; w tém właśnie jest pole zasługi geniuszu: żeby jak najprędzéj siebie i ludzkość do téj błogiéj pokory doprowadził.

Biedny artysto! genialny muzyku, czuły synu północnych krajobrazów, jak tobie żyć bez ideału? gdzie posłać modły za dar tak wielki? z kim duch twój będzie rozmawiał? czyż ludzie całą twoją pieśń spożyją?

Jednak już nie długo będzie trwać ta epoka półreligijna; od Paganiniego do Ole-Bula widzę wielki postęp. W pierwszym malowała się sama rozpacz, wątpliwość, jakby wstyd duszy, która była zbyt wzniosłą, aby swéj niedoli uwierzyć; zbyt skażoną, aby czystą wiarę własną mocą odzyskać. Ole-Bull przeciwnie, już zaczyna budzić nadzieję, przepowiada epokę uspokojenia, spoczynku w wierze; co jest smutnego w jego utworach, jest smutkiem osobistym, melancholią subjektową, dla świata zaś ma weselną pogodę. Witajmy w nim czystą przyszłość naszej wiedzy, chrześciańską piękność społeczeństwa.

Nie będę tu zastanawiać się nad grą Ole-Bula ze względu wykonania i biegłości, niech o tém sądzą znawcy; chciałam tylko oznaczyć jego stanowisko filozoficzno-artystyczne, tém bardziéj, że u nas mało rozumieją zwykle wiekowe znaczenie genialnych ludzi, ich stósunek z biegiem wychowawczym rodu ludzkiego. A przecież w opatrznym zarysie wszystko ma swoje umieszczenie, wszystko spełnia ważną missyę, wszystko jest symbolem, godłem wyższych wyroków. *Eleonora Ziemęcka.*

Kurs literatury sławiańskiéj.

Czyniąc zadosyć żądaniu Pana, pospieszam z przesłaniem Mu krótkiego sprawozdania wykładu literatury sławiańskiéj przez Adama Mickiewicza. Niepodobna mi, mówiąc o tym przedmiocie, niewyrazić żalu z powodu oziębłości Polaków na lekcye Mickiewicza, tyle ciekawych rzeczy dla wszystkich szczepów sławiańskich, a szczególniéj zaś dla Polaków zawierających. Jak podobno z początku sala przepełnioną bywała słuchaczami, tak dzisiaj ledwie dwudziestu do trzydziestu osób dorachować się można. Niechętni i nieumiejący oceniać zasług Mickiewicza, puścili w obieg pogłoskę, jakoby w wykładzie swoim pierwsze miejsce między szczepami sławiańskimi dawał Rossyanom, i tym sposobem starał się poświęcać dawne jakieś ich prawo do ogólnego zwierzchnictwa nad całą sławiańszczyzną. Jak niegodne Mickiewicza i fałszywe są te powieści, wszyscy mogą się najzupełniéj przekonać, jeżeli tylko zechcą posłuchać choć jednéj jego lekcyi; każden bezstronny prędzéjby dostrzegł zbyt daleko posuniętą gorliwość, o rozszerzenie sławy imienia polskiego, jak cień nawet przychylności ku innemu szczepowi. Dziś jednakowoż, częścią przez niechęć lub niewiadomość, częścią przez ową nieszczęśliwą obojętność na wszystko, co jest narodowem, Mickiewicz niema jak może kilkunastu tylko słuchaczów stałych. Szczęściem, że Mickiewicz znając aż nadto dobrze usposobienie Polaków, i będąc wyższym nad niegodne potwarze, nie da się zrażić, i zawsze z wielkim talentem, starannością i powszechném zadowolnieniem słuchaczy, odbywa swoje prelekcye. Przechodzi zwyczajnie wiekami postępy literatury sławiańskiéj, porównywając trzy główne szczepy z sobą: polski, czeski, ruski. Żałuję mocno, że nie byłem przytomnym od samego początku prelekcyom Mickiewicza, dużo podobno rzeczy ciekawych i zupełnie nowych powiedział, a sposób uważania jego narodów sławiańskich i spostrzeżenia różne, stawiają je wyżéj, albo przynajmniéj w równi z innemi narodami. Z resztą widać, że Mickiewicz czuje, co mówi; a że jego czucie pochodzi z mocnéj wiary i wewnętrznego przekonania, aż nadto świadczą poezye jego. Francuzi zarozumiali i przekonani, że niemasz rozumu, tylko francuzki, że wszystko piękne i ciekawe może być w Francyi tylko i o Francyi, jak z początku, że nowość zawsze we Francyi popłaca, poklaskiwali lekcyom Mickiewicza; tak dziś usprawiedliwiają swoje lekceważenie tém, że ma złą wymowę języka francuzkiego; lubo Mickiewicz, jak wszyscy dobrze język francuzki posiadający twierdzą, dobór słów ma prawdziwie piękny i budowa języka jego jest ściśle francuzka, styl poprawny.

Mickiewicz w ostatnich lekcyach przechodził wiek piętnasty i szesnasty. Głównie zastanawiał się nad Czechami, które według jego zdania w tych wiekach nietylko między sławiańskiemi szczepami, ale w całéj Europie pierwszeństwo co do dążeń literackich, a szczególniéj literacko-sławiańskich mają. Kłótnie religijne, pierwsze w Czechach rozszerzyły i wydoskonaliły wynalazek druku; pierwsi Cześi porzucają czytanie romansów i historyj niemieckich, bretańskich i t. d., a biorą się do druku i czytania Pisma

świętego, historyi i powieści sławiańskich. Aeneasz Sylwiusz, późniejszy Papież pod nazwiskiem Piusa II., wyraził swoje zadziwienie, że w Czechach wszyscy mieszczanie nie tylko dobrze, ale dużo czytają i piszą, podczas kiedy w innych krajach, a nawet we Francyi, zaledwie mała liczba wyższéj szlachty umiała podpisać imię swoje. Wspominając o druku, wskazał, że najpierwsze drukarnie, jeszcze przed Guttenbergiem, były przez Polaków otworzone (1), a daléj mówiąc o późniejszym wynalazcy Guttenbergu, wspomniał, że wielu Czechów twierdzi, a pomiędzy nimi szczególniéj ksiądz Jezuita Koźninka, że Guttenberg był Czechem, rodem z Kutna, po niemiecku *Guttenberg*, i że ztąd nazwisko jego poszło. Co do drukarń założonych przez Polaków, wymienił najprzód Adama Polaka, któren w roku 1478. w Hiszpanii pierwszą drukarnię założył, a któren pierwéj założył był inną w Neapolu; daléj, że Polak niejaki, Mateusz Pawieńczyk, dzieła swoje z napisem: *Ars moriendi*, już pono w roku 1440. przed Guttenbergiem w Harlem był drukował (2). Skończywszy mówić o Czechach, przechodzi do Rusinów, którzy wtenczas byli zupełnie obcymi postępowi całéj sławiańszczyzny. Lud w zupełnéj ciemności, w niewoli ciemiężony; książęta zajęci jedynie rozszerzeniem swéj władzy i wybiciem się z jarzma Tatarów, niemający sił dosyć,— przedstawiają długi ciąg najpodlejszych zdrad i podejść tak z poddanymi sobie bojarami, jak z ościennemi narodami. Przytoczył, wyliczając rozmaite niegodziwości tych książąt, powiastkę długo w owych czasach krążącą pomiędzy ludem ruskim, będącą niejako dowodem niegodziwości ich jednego z najgorszych i najfałszywszych książąt Szemiaki, księcia moskiewskiego: „Zbrodniarz pewien schwycony „i prowadzony przed sąd tego księcia, podniósł „na drodze kamień duży, i obwinął go w szmatę, „w chęci rozbicia nim księciu głowy, gdyby „bardzo surowy wyrok na niego wydał. Książę, „wysłuchawszy sprawę, przekonał się, że oska„rzony był winnym, ale widząc ów kamień, „obwinięty w szmatę, i sądząc, że ów łotr przy„niósł złoto dla niego, jeśli go uwolni, potępia „niewinnego przeciwnika jego, a łotra owego „uwalnia.“ Po owym Szemiace nastąpił Jan, a po tym Wasil, książęta, którzy z jednéj strony przez rozsiewanie ciągłych niezgód pomiędzy hanami tatarskimi, osłabili ich i powoli odebrali Kijów i całe dawne posiadłości ruskie; z drugiéj strony, przez ciągłe intrygi i podstępy ujarzmiają Rzeczypospolite, pskowską i nowogrodzką. Tu porównywając wszystkie trzy szczepy: czeski, polski i ruski, pokazał, że każden z tych szczepów miał nieoledwie zupełnie odrębny kierunek, zupełnie inne dążności polityczne. Dom habsburgski, po wygaśnięciu linii Jagiellońskiéj w Czechach, walczy powoli ze stronami sobie przeciwnemi, nie zaczepia, ale raz zaczepiony, walczy do upadłego, zwycięża i nieprzebacza nigdy swoim nieprzyjaciołom; królowie władzę całą w ręku swojém skupiają, a szlachta zgnębiona nikczemnieje.

W Polsce przeciwnie; szlachta jedynie zajęta powiększeniem swoich wolności i przywilejów, wzmacnia się i rośnie w potęgę, z uszczerbkiem potęgi królewskiéj.

Na Rusi książęta panują despotyzmem mongolskim; wytępiają wszelkie czucie narodowe, zagładzają pamiątki, jedném słowem, oswajają lud ruski, o ile mogli, z bytem niewolniczego poddaństwa; sąsiedzkie wolne miasta i narody kłócą, powoli jątrząc jedną partyą przeciwko drugiéj, całkiem rozdwajają, sami się na pośredników narzucają, każdą partyą najsłodszemi słówkami, najświetniejszemi obietnicami omamiają, a wreszcie zabijąc, udają jeszcze przyjaciół i dobrych opiekunów.

Na tém stanął Mickiewicz, a zadowolenie publiczności okazało się w głośnych i przeciągłych oklaskach.

Lekcye Mickiewicza nie będą dłużéj trwały, jak do końca Czerwca, t. j. początku feryi; będę się starał wszystkie ściśle zanotować i z nich krótkie wyciągi porobić; jeżeli Pan zechcesz w piśmie swojém umieszczać podobne krótkie sprawozdania, będzie mi bardzo przyjemnie, przyczynić się do rozszerzenia wielu rzeczy ciekawych i mniéj znanych Polsce, i będę się starał jak najczęściéj moje wyciągi Panu przesyłać.

Paryż, dnia 16. Maja 1841.

Fr. Ł.......

(1) Gdzie dowody na to?

(2) Patrz, co o tym Mateuszu z Krakowa mówi Bandtkie w Historyi drukarń krakowskich, na stronie 31. i następnych.

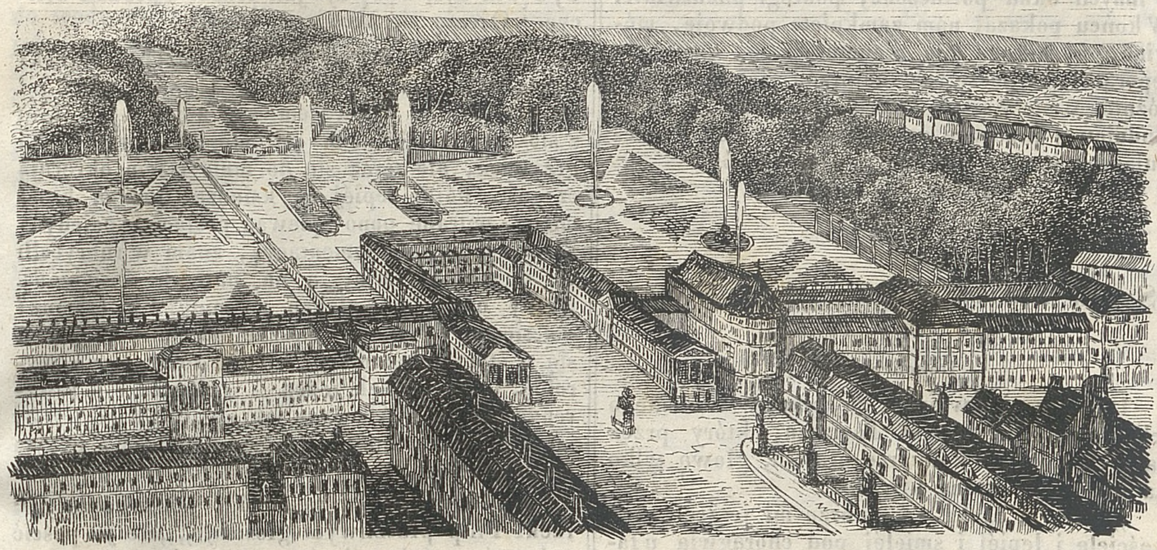
Wersal. (1)

W dzienniku moim, przed kilku laty pisanym, następujące za powrotem z Wersalu skreślone wyczytuję słowa: (2)

„Widok Wersalu smutne sprawia wrażenie: gmachy te prawie niezmierzonéj oku wielkości, twierdzącéj o przepychu dawnego dworu Burbonów, teraz tylko znikłą ich dumę przywodzą na pamięć. Puste, głuche, opuszczone zamczysko, nadto wyraźnie przemawia o znikomości światowych rzeczy, by nieucisnąć myśli i serca. Zdawało mi się widzieć jakąś starą i zgrzybiałą faworytę królewską, słynną dawnemi wdzięki; trzęsła ona niegdyś posłami obcych dworów; ministrów tworzyła i zmieniała, i wszyscy wówczas czołem przed nią bili. Teraz opuszczona, zapomniana, pogardzie oddana prawie.... Przed-

(1) Opis wyjęty z *Ostatniéj podróży do Francyi i ostatnich jéj wrażeń*, przez Ł. z ks. G. R.

(2) Zob. P. I. r. II., T. I., N. 10 i 11.



Widok Wersalu.

stawiła mi się pani Dubarry w Luciennes kryjąca wstyd swój, i szafotem dawnéj władzy opłacająca nadużycia.

Zamek wersalski najprzód uderza wielkością, a następnie przenika swém opuszczeniem, ku ruinie dążącém. Piękność jego dopiero ze strony ogrodu oceniać się daje. Miasteczko, poczynające u bramy dziedzińców, też samą cechę spustoszenia i smutku nosi. Ulice szerokie, place obszerne, dawniéj pełne gwaru, złotéj i pysznéj elegancyi, teraz porosłe trawą, kiedy niekiedy nogą wiejskiego przechodnia ugiętą!.... każdy depcąc po niéj, uderzony nicością świata, powtarza sobie: „Jeżeli ze wszystkiego, co tu istniało, już tylko to pozostaje, a cóż po mnie zostanie?....

Wersal w swym rodzaju drugą jest Pompeją. Ta padła ofiarą płomieni wulkanu; Wersal płomieniem rewolucyi pochłoniony. Pompeja w paroxyzmie natury, wszystkie swe zbytki popiołem przysypane ujrzała; Wersal paroxyzmem socyalnym postradał swe przepychy, pod jego popiołami zagrzebał swą dumę.

Każde dawnych dworów siedlisko, każden opuszczony królów zamek, zapewne mniéj więcéj zdolny podobne wrażenie wywołać. Lecz Wersal nieoddzielny w naszych wspomnieniach od wieku Ludwika XIV., od wszystkich wieku tego sław i ponęt, żywiéj, gorącéj uderza imaginacyą. Każdy tak dziełem Woltera, jak innemi u tegoż czerpanemi źródła, obeznany ze wszystkimi, co tam żyli i świetnieli, szuka w tym pałacu jakby własnéj młodości wspomnień: zdaje mu się, że tam co chwila napotka cień jakiéjś głowy wawrzynem opasanéj, jakiéjś znajoméj mu sławy; że w którym z tych długich ogrodowych szpalerów, ujrzy Racina, szukającego rymu do ostatniego aktu Atalii, lub kawalera Boufflers, układającego wierszem komplement dla pani Sevigné.... Tym czasem, wszędzie cicho, pusto, głucho....

W ogrodzie możnaby mniemać, że tam czas swe skrzydła opuścił, w oczekiwaniu powrotu dawnych ludzi i rzeczy. Gęste zielone ściany, z obciętych lip i grabu, ani wyższe, ani szersze jak przed stu laty były, we wszystkie go kierunki przecinają, tworząc szpalery lub kwadraty. Gdzieniegdzie w pośród czworokątnego trawniku, sosna co wiosnę w tych samych ostrzyżona kształtach, jakie jéj Le Nôtre (3) przepisał, jeszcze ani na linią od pierwszych swych wymiarów nieoddaliła się. W rogu każdego krzyżującego się szpaleru, ławka; naprzeciw niéj posąg przedstawiający Amora u nóg Wenusy, lub innego bożka w miłosnéj postaci (4). W około i w środku licznych sadzawek, opasanych kamieniem, takież posągi przeznaczone do wodotrysków, swemi kształty przypominają, z którego pochodzą stulecia, a poczerniała ich barwa przemawia, ile lat po nich przebiegło.

W zamku przeciwnie, w każdym kroku zniszczenia ślady. Na kilkokrotne wezwanie towarzyszów moich, stary zapewne niegdyś odźwierny, z resztą upudrowanéj peruki na głowie, z szarzaną burbońską liberyą na plecach i ogromną wiązką zardzewiałych kluczów, wylazł z kąta jakiegoś, jakby z grobowéj piwnicy, i

(3) Le Nôtre zakładał ogród wersalski.
(4) Ogród i teraz żadnéj nieuległ zmianie.

otworzył nam cały szereg pustych pokoi. W niektórych widać jeszcze było u góry stare obrazy, przedstawiające zwycięztwa Ludwika XIV.; w innych okna potłuczone, podłogi pobutwiałe. W końcu pokazał nam zamknięte podwoje, mówiąc, że nikogo tam niewpuszczają, z powodu reperacyi rozpoczętych najprzód za cesarstwa, później w pierwszych latach restauracyi, lecz po studniowéj przerwie zaniechanych, i dotąd oczekujących jeszcze nowego pana rozkazów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Synod klechów podgórskich 10. Stycznia 1607. roku.

(Dokończenie.)

Ukazała się wtém z za pleców Walentego tchórzowata fizys pana Tomasza, który przez cały czas, gdy o żołnierce prawili, głową tylko na wszystkie strony kiwał.

„„At!““ rzekł, „„dobrze mi jeszcze przy kościele i lepiéj i śmieléj pod chorągwią u ławek, niż pod hetmańską. Uszykuję sobie dzieci wśród kościoła, nikt mnie za to nie obije, ani marszałek laską, ani hetman buławą. Nie boję się cięcia i strzału, na deszczu nie zmoknę, pod dachem się wyśpię, na wojnie drżeć nie będę. Jeśli wam idzie koniecznie o bitwę, ręczę, że w karczmie, gdy się chłopi popiją, to tak dobrze tłuką, jak na wojnie.““

„„„Nie pięknie to panie Tomaszu, że od nas odstępujecie,“““ przerwał drugi, „„„dla tego, że tam teraz u was kilka snopków. Zobaczycie no, na czém skończycie. Żyto nie urodzi, pleban się pogniewa, i ostatnie kilka groszy minie; będziesz na starość chłopom gąsięta i cielęta pasł; a może na tém lepiéj wyjdziesz, bo przynajmniéj na ś. Marcin swoją miarkę odbierzesz. Oddaj ty djabłu szkołę, idź z nami do wojska, a jak skoro po ś. Wojciechu, powędrujem na wyprawę.“““

— A nie pójdę na śmierć Matya, — odpowiedział Tomasz, — niepójdę. Idź ty do licha, kędy chcesz! Wolę ja tu po wsi psy bić i kromki chleba zbierać, niż się gdzieś tam włóczyć. —

„Co ja!“ rzekł pięknéj postawy i rumianéj twarzy Hieronim, „nie pójdę z wami téż; kłaniam się. Ja mam pilniejszą sprawę, muszę się tego roku ożenić koniecznie. Zeschłem z głodu, zeschłem; nareście jużem sposób znalazł, miałem księdzem zostać, i jestem już akolytą, ale lepiéj jeno się ożenić! Wabi mnie matka i z córką bardzo. Matuchna da jéj dziesięć grzywien, obiecała pościel, suknie, dwie krowy, a reszty tom i zapomniał, wszak ci musi tam coś być dodatku. Oj, tam to, tam, życie u pani matki! jak dadzą jeść, to jak na Wielkanoc święcić, taki dostatek! Daj no Boże za to się wypłacić. Dałem ci już stary żupan mojéj dziewce na przyodziewek, a ona mi kołnierzyk z podartą korunką i chustkę k' temu obiecała. Oj będeż żył, będę żył jak prałat i płodził delicye. Ożenię się przed zapustami.

„Ba! nie gadaj mi Wać o zalotach,“ odrzekł Grzegorz, „głupia to rzecz. I jam się był jął do Krystynki; chowałem się z nią, jak brat z siostrą; ksiądz Jan po niéj obiecywał sto grzywien, ale teraz się do mnie tyłem okręcają czegoś. Pójdę lepiéj na księdza, umiem katechizm, potrafię pono śpiewać prefacyą, pojedynkiem odśpiewam lamentacyą, znam w rubrycelli co duplex a feria, a na palcach Cisioianus. Byłby nie głupi pleban ze mnie! A czemuż? dziesięcinę wytknę, meszne odbiorę, wywiem się o starych retentach, indult sobie łacno wyrobię, tylko mi sęk jeden — o płaszcz i o rewerendę chodzi! Ale pono jak się wyświęcę, żeby mi Krystynka nie przyszła ze słowem, bobym musiał w nogi!“

„„Żebym to ja tak mógł jak Waszeć,““ rzekł Filip płaczliwym głosem, „„ale ja pościć ani weź, a śpiewać nie spełna. Zostałbym pustelnikiem, ale w lesie niewytrzymam, bo się boję głodu. Oj! oj! bieda! Nie raz jak na dzwonnicę wlezę, to płaczę, płaczę, a gwiazdy liczę i myślę sobie: Na cóżeś mnie stworzył wszechmogący Boże, na co? I tak od tych myśli sen mnie nawet nie bierze. Czasem na cmentarz pójdę i włóczę się jak Marek po piekle, czasem z tęsknoty na lipę wlezę i patrzę, czy nie widać gdzie stypy, albo konduktu. Do karczmy choćby człek i rad, to się nie dociśnie, dziewki boki wysztурchają. Nikomu już takiéj biedy, jak mnie! Oj! poradźcie, poradźcie, kiedy możecie.““

„„„Co tam tobie gapiu radzić,“““ rzekł ktoś, „„„nam tu ważniejsze sprawy myśleć trzeba, jakby księży lepszymi zrobić. Bo pleban to póty tylko dobry i łaskawy na klechę, póki się go boi. O! niech no mu wizytę zapowiedzą biskupią, będzie on się najuniżeniéj miał do mistrza z prośbami. Zaraz szklanki, bańki, kieliszki, półkwartówki pochowa, nakładzie na stół książek i dzban wody tylko postawi. Ze cmentarza precz pospędza konie, bydło, gęsi; klesze każe z ambony pył nawet pozmiatać, ledwie że dzwonów nie umywa. W chrzcielnicy dziesięć razy wodę przemieni, kości w kośnicy poukłada; pilnuje, żeby słomy na dzwonnicy nie było, sam ołtarz ubierze, kropidła ponaprawia, na zakrystyą gdzieś pozarzuca motowidła, wałki, maglownice, krosienka. Ty zaś mistrzu nie gadaj o tém, będę ci łaskaw. I złote góry obiecuje. Ale we dwa tygodnie potém, gdzie tam! ujrzysz obiecankę za cacankę!“““

— Posłuchajcie no mnie, — wołał tym czasem Prosper, — mam się ja wam gorzko po-

skarzyć. Oto tak było: w piątek szedłem z sakiem do mostu po ryby, alić postrzegłszy sak księża gospodyni, zabieży mi drogę, i z przetakiem do wody sobie ryby łapać. Ja do niéj i połajałem ją, że mi złość i psotę wyrządzała i ryby straszyła, ona omal co mnie nożem nieprzebiła, ledwiem się jéj obronił. Długośmy się szarpali, aż ksiądz, co téż sobie włokiem niedaleko ryby łowił, posłyszał. Ja do niego łagodnie, a on do mnie od razu z kijem; wypadła i baba zatém, ta na mnie znowu pociskiem z zagrody. I cóż tu teraz robić Waszmościowie? Wolałbym już pójść precz, a do Kozaków przystać, i pobić te niecnoty. Już pobić to koniecznie muszę, choćby przyszło za pokutę iść do Bożego grobu. —

Nikt nic na to nie odrzekł, bo niektórzy się śmieli, inni gwarzyli. Szła koléj na Serafina, który w krótkich słowach zamknął mowę:

„Ja sobie kupię zagon jaki. Żonę mam prawda złą, ale ją téż biję.“

„Ja pójdę choć do szewca służyć,“ odezwał się następny.

„„Ja choć mam imię Felix,““ rzekł trzeci, „„jestem nadto nieszczęśliwy. Wszak ci się do mnie wszędzie dzieci przyznają.““

Wesoły i rubaszny Marcin nastąpił:

„„Czego wam u licha źle, że się wszyscy skarzycie?““ zawołał, „„pytajcie się mnie, com zawsze wesół i śpiewam, czy i mnie téż złota dola na świecie. A jednak śpiewam i nie zasępię się, bo mi moja Kachna dodaje dobréj myśli. Bodaj to zalecanki, to wesołe życie; na co mi to wasze nabożeństwo! Dobre ono dla starych; ja póki żyję, będę się tylko zalecał.““

Ale wtém poskoczył ku niemu sowizrzał i począł go hamować.

— Aj Marcinie! co gadasz? Albož to ty nie widzisz, że umrzeć potrzeba, śmierć zapasem, a ty o zbawieniu nie myślisz? —

„„Daj mi pokój ze swoją śmiercią,““ rzekł Marcin, „„bo cię naprawdę ożogiem chlapnę.““

„A jeżeli tak, róbże sobie co chcesz, a mnie dość na tém, żem cię przestrzegł.“

Przybliżył się Andrzéj zniecierpliwiony.

„Ja widzę,“ rzekł, „że tu z wami sprawy dojść nie można; bajecie plotki, każdy się tylko na swoją biedę skarzy. A już ledwie na rok grzywnę wysłużę, jeszcze z tego muszę i kantora wychować. Ha! a cóż robić? tak Bóg dał, trzeba pokutować do czasu. Ja wam radzę: siedźcie spokojnie, i nie odchodźcie kościołów; Pan Bóg się téż kiedyś nad nami zmiłuje. Można się i z księdzem zgodzić, kto zechce, i posłużyć mu czasem lepiéj, niźli się panu najmować z cepem. Radźmy bracia, jak się poprawić w żywocie, a Bóg o nas pomyśli, bo są między nami łotry, kuglarze, pijanice, i za nich nas Pan Bóg karze. A chcecie, żeby wam lepiéj było, postanówmy kary na złych, i obwarujmy, żeby się poprawili.“

Oburzyło to i jakby ukłuło sąsiada Franciszka, który wziął mowę Andrzeja, za przymówisko do siebie i odpowiedział mrugając:

„„Ale czy to nam kogo sądzić i hamować i poprawiać. Sam Pan Bóg na świat nie dla sprawiedliwych przyszedł, ale dla największych łotrów, i między nimi wisiał na krzyżu i z nimi żył, a jednak ich tak bardzo nie karał. Na co to o tém myśleć, chyba nas chcecie Jezuitami porobić.““

Ale drudzy przypadli, i zaczęli mu mowę przerywać.

„„Co ty bajesz? znać po tobie niecnotę.““

— Łotrem się być nie godzi, zwłaszcza nam sługom Bożym przy kościele, trzeba dać dobry przykład. —

„Albož niewiesz, jak Pan Bóg łotrów chlustał biczem w kościele. Trzebaby i ciebie powrozem zacząć nawracać, jak widać.“

„No, no, a zatem koniec,“ krzyknął Chrystophorus; „powiedzieliście, co chcieli, i wszystko dobrze. Laudabile totum, a zatém jeść się już chce.“

„„Prawda to,““ każdy z nas habet vacuum lupinum foramen, a za tém dość, i do miski.““

Lecz starszyzna zebrała się jeszcze na ostateczną radę.

— Słyszeliśmy, — rzekł Valentinus, — wszystkie wasze skargi. Prawda to, że ucisk, ale dla tego kościołów opuszczać niepotrzeba. Siedźcie tylko cicho, nieczyńcie ekscesów, nieuczęszczajcie do karczem, nie kłućcie się z księżmi. To potrzeba uchwalić i wydrukować. Niema tylko czém drukarza opłacić. —

„Damy mu,“ przerwał drugi, „każdy po kiełbasie na kolendę, a będzie ich miał parę fas i będzie mu dość.“

A zatem siedli starsi, i takie ustawy dla klechów spisali:

Ustawy walnego synodu klechów podgórskich.

1. Uchwalony pobór na potrzebę pospolitą od klechów po groszu, a od kantora po pół grosza.

2. Zakazujemy klechom uczyć dzieci grammatyki i śpiewu, żeby nie były mędrsze od nas i na starość nas ze szkół nie wycisnęli.

3. Aby żaden klecha za klerykaturę nie służył.

4. Aby żaden nie służył za dwanaście i za piętnaście groszy myta, tylko najmniéj po kopie za kwartał, oprócz legumin.

5. Z heretyki aby się żaden nie ważył dysputować o wiarę.

6. Aby żaden nie porzucał księdza, pókiby kucharce księżéj nie wyrządził złości, bo choć im dany godny urząd, ale na nieszczęście nasze.

7. Aby klecha albo kantor nie bywał w karczmie na biesiadzie, dla zgorszenia ludu prostego,

a ile razy by był, tyle groszy winy da do skarbu.

8. Z orężem żelaznym aby nikt nie chodził, tylko z laską, a z kijcem za pasem.

9. Po huzarsku, po kozacku, albo w kurcie, aby nikt nie chodził, pod karą, żeby w krakowskiéj zamkowéj bularni między dziady jednę noc przeleżał, stanie to mu za kurtę.

10. Ktoby u koszuli miał wyszywany pstro kołnierz (oprócz koronków), ma za karę siedzieć u ś. Giertrudy na wale w kunie dzień jeden.

11. Ktoby pił albo tańcował we wstępną środę, gdy mu będzie dowiedziono, ma za karę obejść pięćdziesiąt kościołów krakowskich, nasypawszy tatarki w trzewiki, pod bose nogi.

12. Któren gra w karty, odjąć mu pół myta, i dać do kościoła na księgi, a on niech się wygraną kontentuje.

13. Którzyby Cisioianus nie umiał, Ter trini, Alleluja, Dorsa eorum, nie ma być klechą.

14. Ktoby w graduale podpisał text inny pod nóty, grosz do karbony da.

15. Ktoby antyfony, albo śpiewy chorałowe do swego kościoła przepisywał z innego, da groszy piętnaście do karbony.

16. Ktoby żebrał mąki do kościoła, da grosz winy.

17. Aby się żaden nie ważył czarownikom dawać z kościoła wosku, strzępków, wody chrzcielnéj, mchu z dachu, kości trupich, rdzy ze dzwonów, oprócz wody święconéj, kropidła i ziela Bylicy, bo tamtych rzeczy używają na złe, na zepsucie dobytku, na pokłócenie małżeństw, osypywanie dziewek i młodzieńców. Także stuły do opasywania się brzemiennym nie godzi się dawać, ani w chrzcielnicy przeglądać się od żółtaczki.

18. *Clericus clericum non decimat.* Klechy umarłego brata powinni pochować bez pieniędzy.

19. *In mortali peccato nemo audeat intrare ecclesiam, atque publicus peccator, publice poeniteat.*

20. Ktoby się nie spowiadał o Wielkiéjnocy, ma być wyłączony z między nas, wyjąwszy ważne przyczyny.

21. Aby żaden ani z kucharką księżą, ani z dziewką służącą się nie żenił, *sub poena indignationis Dei Omnipotentis.*

22. Czas odstawania i przystawania ma być wedle umowy, najlepiéj na wielkanocną niedzielę po nieszporze. A którzyby się godzili o ś. Michale, mają śpiewać mszą tam, gdzie przystają.

23. Co się tycze petycyi, do téj ksiądz żadnego nie ma prawa, bo to nasza jałmużna, krom zapłaty należna.

24. Aby nikt nie odstawał bez świadectwa, ani bez niego bywał przyjętym.

Omelno, dnia 21. Października 1839.

J. J. Kraszewski.

Do Przyjaciół.

Mówcie też czasem o mnie, moi przyjaciele,
Kiedy mnie już nie będzie wśród waszego grona,
Gdy mi śmierć zimne łoże w grobowcu uściele.
Mówcie! niech pamięć o mnie pośród was nie skona.

Wszak moje całe życie na tym nędznym świecie,
Było walką zażartą przeciw i za ludzi —
Walcząc, miłości ku wam nie zrzekłem się przecie,
Niechże więc ona u was współczucia obudzi.

A kiedy pogrążeni w posępném dumaniu
Wyjdziecie błądzić sobie na pusty manowiec,
Znajdując ulgę sercu w cichéj łzy wylaniu,
Idźcie, o bracia! na mój ją wylać grobowiec.

Idźcie! a łzę wylawszy, posłuchajcie chwilę
Téj piosnki, którą nucą mi drzewa cmentarza;
To moja piosnka wieje na mojéj mogile, —
Pojm'cie ją! niech ją duch wasz na wieki powtarza!

S.......